Wydawnictwa rok VI
Dnia 1 stycznia 1928 r.

Nr. 226

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy".

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

NA BUJNEJ NIWIE ŻYCIA I TWORCZOŚCI

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Swiat 22 tel. 283-62.

NIEDYSKRECJE.

PRZEDWYBORCZA DZIAŁALNOŚĆ PIASTA na wsi odradza tradycję metod agitacyjnych z roku 1922. Agitatorzy piastowi ruszają na wieś ,wywieszając bezczelnie sztandar Komendanta. Tak szli do wyborów do poprzedniego Sejmu, kryjąc w zanadrzu punkty paktu z ósemką, tak i dziś próbują masy ludowe zbałamucić, zdobyć ich głosy, by za plecami wyborców dobrej wiary dalej prowadzić swe polityczne machinacje z wrogami tego ludu;

Dowodzi to raz jeszcze, jak dalece upadł na wsi autorytet dawnych działaczy piastowych z p. Witosem na czele. Opuścili ich sojusznicy, wysunęli się i wyzwolili z pod ich wpływu katolicko-ludowi, opuścili ci wszyscy, którzy w szeregi Piasta weszli ze szczytnemi hasłami państwowej pracy na wsi, a nawet partyjnicy dawni oglądają się chętnie za możliwościami porozmawiania z rządem

I oni opuściliby chatkę niesławną p. Witosa, spokrewnioną tak blisko z domeczkiem, a raczej stajenką dojlidzką Kiernika,—gdyby, ach gdyby chciał ktoś z nimi rozmawiać!

B. posłowie piastowi rezygnują z mandatów w szeregu okręgów wyborczych, uważanych dotąd za wyłączną niemal domenę ich partji. Wierzymy, że przyjść im to musiało z trudem, znamy bowiem dobrze psychologję tej kategorji ludzi, — ale jakżeż było począć inaczej, gdy wystawienie tych kandydatur w dzisiejszej atmosferze wsi skazaneby było z góry na sromotną klęskę. Trudno jest toczyć bitwę na terenie, na którym nie ma się wojska.

Toteż p. Witos chadza posępny i chmurny i dementuje pogłoski o mających się jakoby odbywać pertraktacjach jego z senatorem Bojką, lub jakimikolwiek innymi przedstawicielami. Tak wierzymy, że p. Witos np. z przedstawicielami rządu nie rozmawiał, albowiem rząd nie chce takiej rozmowy. I nie potrzebuje; uchwały wójtów, ich front po stronie rządu jest tak wyraźny i tak jasno wypowiedziany, że nie potrzeba pośrednictwa p. Witosa.

Ale dlaczego p. Witos z p. Kiernikiem godzą się na opowiadanie swych ludzi po wsiach, że „Piast" nie idzie przeciw rządowi, że nie przeciwstawia się w niczem Marszałkowi Piłsudskiemu? Czyżby instrukcje partyjne nie zostały jeszcze wydane, czy też te zapewnienia uważać za nieśmiałą ofertę?

* * *

OPINJĘ WĘGIERSKĄ W SPRAWIE POLSKO-LITEWSKIEJ przynosi artykuł w „Magyar Orsag", w którym jasno i wyraźnie wyrażony jest pogląd na sprawę Wilna. „Dla nas Węgrów—głosi artykuł—jest znacznie korzystniejsze, by Wilno pozostało w rękach Polskich, a to z tego powodu, że my, jako naród, który sporo ucierpiał od bolszewizmu. bynajmniej nie pragniemy aby idee bolszewickie, torując sobie drogę przez korytarz wileński, docierały do centralnej Europy". Najgorętszem pragnieniem każdego polityka środkowo-europejskiego, powiada autor artykułu, jest możliwość przebycia przestrzeni, dzielącej stolice najbardziej na południe i zachód położonych państw w Europie z stolicą najkulturalniejszego narodu północy Europy—Helsingforsem, napotykając po drodze narody i państwa zasługujące na miano kulturalnych. Możliwość ta będzie złudzeniem, jeżeli Wilno miałoby się znaleźć po za sferą wpływów Polski—kończy „Magyar Orsag".

* * *

PROBOSZCZ KOŚCIOŁA O. O. PAULINÓW dał świetną naukę rozumu, taktu i zwykłego, ludzkiego miłosierdzia naszej prasie choć endeckiej, nie zawsze przecież katolickiej. Obłąkany żyd wywołuje w kościele zamieszanie, dopuszcza się wybryków, których żaden jeszcze nietylko zdrowy żyd, ale i zdrowy chrześcijan nie był sprawcą. Jasne. Chory, nieszczęśliwy człowiek, którego zresztą znały już zakłady dla umysłowo-chorych, jako nieuleczalnego. Ale w pogoni za nędznemi, rynsztokowemi tytułami dla swych artykułów na pierwszem miejscu, prasa endecka nie cofnie się ani przed jawnem kłamstwem, ani przed zdecydowanem chamstwem. Wczoraj bluźniercą był żyd Dymont, jutro będzie nim może sam... Orenstein. Zakute ciężkie głowy endeków nic prócz podobnych tytułów wymyśleć nie potrafią. Antysemityzm endecki ma wszelkie cechy nienawiści dla człowieka. To też choroba ciężka i przewlekła.

* * *

BIJĄC SIĘ POKORNIE W PIERSI część opozycji komunistycznej z Zinowjewem i Kamieniewem na czele, wyznała swe grzechy i ślubowała wierność Stalinowi. Ale dyktator gruziński okazał się nieczuły na pokłony wiernopoddańcze niedawnych przeciwników i nie dał im jeszcze rozgrzeszenia. To typowe rosyjskie „kajanie się" znane jest z historji metod rewolucyjnych w Rosji. Niejeden z bojowników dawnej Rosji o wolność ukorzył się przed autorytetem władzy. Kanossa opozycji komunistycznej tchnie ponuremi kontrastami bohaterów dostojewszczyzny, pełnych sprzeczności duchowych i bezsilnych w całym swym światoburczym rozpędzie. P. Stalin ma wszelkie powody do powątpiewania o lojalności nawróconych heretyków komunistycznych. Ich krzyki rozpaczy: „nie możemy żyć poza partją" są równie mało wzruszające, jak przekonywujące.

Według wszelkiego przypuszczenia, masy opozycyjne nie pójdą za swoimi zdradzieckimi leaderami, a pozostaną przy Trockim i tych nielicznych przywódcach, którzy ugięli się przed większością. Różnemi kolejami kroczy opozycja komunistyczna, której początek sięga roku 1921, pierwszego okresu „Nepu". Jej wodzowie ówcześni Szlapnikow Miasnikow — skrzydło radykalno robotnicze — okazali się wytrwalszymi od nowych opozycjonistów. Dziś wszystkie niemal żywioły opozycji, za wyjątkiem skrajnej lewicy—Sapronowa—ciążą ku Trockiemu. W jego ręku spoczywają dalsze jej losy.

* * *

„WALKA Z REAKCJĄ" — z tem hasłem przystąpią socjaliści francuscy do zbliżających się wyborów. Nad programem wyborczym obraduje obecnie w Paryżu konferencja partji socjalistycznej, która po omówieniu budżetu partji i sprawy wydawnictwa urzędowego dziennika partyjnego „Le Populaire", przystąpiła do roztrząsania kwestyj zasadniczych. Dwa skrajne poglądy ścierały się przy debatach nad taktyką wyborczą socjalistów. Prawe skrzydło z Renaudelem i Paul Boncourem na czele broniło idei kartelu, która jednak uważana jest za niepopularną w sferach robotniczych. Socjaliści, którzy sami poniekąd przyczynili się swą odmową wstąpienia do gabinetu Herriot'a do jego upadku, dotąd nie mogą mu darować udziału w rządzie koalicyjnym Poincare'go ze zwalczanym przez radykałów blokiem narodowym. Skrajna lewica partji — Zyromski, Lebas, Bracke—skłania się raczej do utworzenia jednolite-

go frontu proletarjackiego przez zblokowanie się z komunistami. Ostatecznie przyjęta została przez kongres propozycja centrowców Bluma i Paul Faure'a, w myśl której socjaliści przystępują do wyborów samodzielnie. W zależności od warunków lokalnych pozostawia się wolną rękę poszczególnym komitetom prowincjonalnym, które jednak stale winny mieć na względzie popieranie kandydatów, wyraźnie zwalczających reakcję. — Pod obrady kongresu poddane zostały w związku z omawianiem programu wyborczego najbliższe zamierzenia socjalistów w dziedzinie finansowej. Po dłuższych debatach nad wnioskiem lewicy partyjnej, zmierzającej do „konfiskaty kapitałów" oraz prawicy, żądającej zupełnego pominięcia tej sprawy w programie przedwyborczym, przyjęta została kompromisowa formuła Vincent Auriola, o „nadzwyczajnym podatku od kapitału. Pozatem kongres postanowił żądać stabilizacji franka, o ile warunki objektywne nie będą temu stały na przeszkodzie, oraz uchwalił szereg ulg podatkowych dla drobnych rentjerów, licząc niewątpliwie na głosy szerszych kół mieszczańskich. Do burzliwych scen doszło, gdy przystąpiono do omawiania zagranicznej polityki Francji. Radykalnie usposobiony Żyromski w gwałtowny sposób zaatakował traktat Wersalski i utworzony ostatnio system układów i paktów gwarancyjnych. Tu jednak spotkał się on z odprawą większości kongresu, która główny nacisk kładła na fakt zasadniczy, iż pokój 1919 roku przyniósł wolność wielu krajom i narodom. Stwierdzić naogół należy, iż dominują na obecnej konferencji socjalistów francuskich żywioły umiarkowane i państwowotwórcze, których prawdopodobny sukces wyborczy zmusi do wzięcia udziału w rządach Republiki wespół ze stronnictwem radykalno-socjalistycznem.

* * *

PRZEMÓWIENIE OJCA ŚWIĘTEGO, wygłoszone do kardynałów z okazji złożenia życzeń świątecznych, poruszyło szereg spraw politycznych. W pierwszym rzędzie papież wyraził gorące ubolewanie z powodu prześladowania kościoła katolickiego w Meksyku, Rosji i Chinach. Pomimo licznych dowodów posłuszeństwa i adoracji dla Stolicy Świętej, nadchodzących z Francji, Papież z przykrością stwierdza, że zachodzą tam jeszcze wypadki oskarżania Stolicy Apostolskiej o uprawianie polityki, jakkolwiek ani w myślach, ani w dziełach Ojca Świętego niema cienia polityki. Ten prąd, idący z Francji, jest tem bardziej niebezpieczny, iż w pewnym stopniu przedostał się przez Alpy do Włoch, Papież jednak pokłada nadzieję w zdrowym rozumie włochów. Niezmiernie go raduje rozwój nauczania religijnego we wszystkich rodzajach szkół włoskich, co przyczynia się do wzrostu uczuć religijnych. Udzielając wiernym błogosławieństwa, Ojciec Święty podkreślił, iż nadal pozostaje optymistą, pokładając w Bogu wszelkie nadzieje na pomyślny rozwój wypadków.

* * *

ŚWIĄTECZNE REFLEKSJE MĘŻÓW STANU EUROPY posiadają z natury rzeczy charakter optymistyczny. Wróżą one pogodę w polityce na rok przyszły. Pewnym łagodnym sceptycyzmem w tych okolicznościowych uspokajaniach wyróżnia się wywiad min. Brianda, o którym pisaliśmy przed kilku dniami, oraz odpowiedź premjera Baldwina na „peace letter" — adres angielskich przyjaciół pokoju, — złożony mu przez członka Labour Party, Ponsonby'ego, a domagający się natychmiastowego rozbrojenia Wielkiej Brytanji. P. Baldwin zwraca uwagę na utopijność tego żądania, używając między innemi, na zupełnie nowej i oryginalnej argumentacji. Zdaniem jego, rozbrojenie Anglji byłoby w chwili obecnej krokiem wymierzonym przeciw Lidze Narodów — dowodzi on — państwa zobowiązane są na wypadek konfliktów poprzeć decyzje Ligi siłą zbrojną. Jak się wywiąże z tego obowiązku rozbrojona Anglja? To samo odnosi się i do jej roli, jako gwarantki umów lokarneńskich. Wszelkie istniejące pakty oparte są na ewentualnem użyciu siły zbrojnej, jako ultima ratio. Wszystko inne, to muzyka dalekiej przyszłości!.. Ale w takim razie musielibyśmy się wiecznie obracać w zaczarowanem kole, pomiędzy wojną a pokojem, zbrojeniami a rozbrojeniem, nie posuwając się ani o krok naprzód na drodze do prawdziwego pokoju. Dotychczas bowiem stara zasada „*si vis pacem, para bellum*" nie straciła nic ze swojej aktualności i jest nawet, jak świadczą wyżej wspomniane argumenty, dostosowywana przez kierowniczych mężów stanu do programu Ligi Narodów, a o nowej zasadzie „*si vis pacem, para pacem*" mało kto z nich chce słyszeć. Jasnem jest, że słuszność mają ci, którzy doszukują się wyjścia z tego zaczarowanego koła w innym kierunku: w wewnętrznym procesie przeobrażeniowym społeczeństw, w radykalizacji idei pokojowej, płynącej z dołu, a nie z góry. Losy Europy, jak twierdzi Paul Boncour w mowie swej, wygłoszonej na kongresie socjalistycznym w Paryżu, są w dużym stopniu zależne od przyszłych wyborów w trzech wielkich mocarstwach: Anglji, Francji i Niemczech.

Z DOSWIADCZEŃ POLSKIEGO SYSTEMU ORGANIZACJI PRACY

Mamy tu na myśli właściwie niewielką, ale zasługującą na głębszą i na wszechstronną analizę organizację pracy budowlanej według systemu, stosowanego w I-szej robotniczej spółdzielni budowlano-mieszkaniowej „Zdobycz Robotnicza", na t. zw. Polach Bielańskich pod Warszawą.

O spółdzielni tej pisano wiele. Nie było dziennika w stolicy, oprócz skrajnie prawicowych i takichże lewicowych, któryby nie poświęcił tej placówce osobliwszej uwagi i nie zamieścił o niej paru a nawet więcej artykułów.

Zainteresowała się też nią żywo i prasa prowincjonalna, zwłaszcza w Radomiu, w Łodzi, w Białymstoku, w Krakowie i t. d. Zainteresowali się nią wreszcie i przedstawiciele rządu polskiego, z p. wicepremjerem dr. Bartlem na czele.

Wogóle, od samego powstania swego, zaledwie przed rokiem, 12 grudnia bowiem, 1926 r., założono pod tę spółdzielnię kamień węgielny, ujawniła ona

Jakąś dziwną siłę oddziaływania na umysły i na wyobraźnię ludzką.

Ale w tem wszystkiem, co o niej pisano, nie podkreślono odpowiednio, nawet nie wspomniano o tem[1]), co dla nas w tej organizacji jest rzeczą może najważniejszą, o tych, mianowicie, elementach psychiki polskiej, które ją ożywiają i od innych tego rodzaju organizacji pracy zagranicą odróżniają.

Dla uświadomienia sobie atoli tych właśnie elementów osobliwszych, stanowiących już o ściśle odrębnej, narodowej jej konstrukcji, musimy mieć materjał porównawczy i rzecz naszą ująć na tle panujących obecnie w innych krajach zasad i metod organizacji pracy i związanych z niemi życiowo zasad administracji.

Otóż, uderzy nas w nich pewna bezduszność, jakieś zupełne zlekceważenie, wyrugowanie pierwiastka uczuciowego, a potem nie możemy dopatrzeć się w nich żywej, gorącej łączności między organizowaną przez nie pracą a bytem, sławą, ideą narodu.

Czemże jest np. t. zw. i tak już na całym świecie spopularyzowany tayloryzm? Zastosowaniem zasad jedynie nauki, logiki, matematyki do organizacji pracy.

Oto, jak jego treść istotną w danej kwestji ujmuje jego upoważniony wyznawca, prof. Chatelier.[2])

Przy badaniach—pisze wspomniany profesor—czynnika ludzkiego Taylor opiera się na trzech zasadniczych punktach: 1) badanie pracy ręcznej (chronometraż), każdego oddzielnego ruchu; 2) badanie pracy umysłowej (podział pracy podług uzdolnień); 3) badanie strony moralnej (t. j. przyjazna współpraca między zwierzchnikiem i robotnikiem).

Do powyższego dodamy narazie elementarne twierdzenia — pewniki Taylora: 1) robotnik jest takim samym człowiekiem, jak wszyscy. 2) Zwierzchnicy stoją tylko wyżej pod względem wykształcenia, a przedewszystkiem materjalnie".

I tu już zawczasu zaznaczymy, że nasz organizator zajął wręcz odmienne stanowisko i obudził w robotnikach tę właśnie świadomość, że oni przedewszyskiem nie są i nie powinni być takimi, jak jacyś tam wszyscy, a i swoją rolę zwierzchnika pojął bardziej podniośle i szczytnie.

Jak to uczynił, mianowicie, o tem powiemy później, tymczasem wrócimy jeszcze do poruszonego tła zachodniej kultury organizacji, aby je przedstawić w sposób możliwie wszechstronny.

Oto przed nami dzieło, powiedzielibyśmy, kontynuatora Taylora, Harringtona Emersona: Dwanaście zasad wydajności,

Szan. autor dochodzi do głębszych wniosków. Pojmuje on, że i w życiu przemysłowo-fabrycznem niezbędna jest obecność czynnika wyższego, rzekłbym nadczłowieczego, że opieranie się na pospolitej przeciętności i na ścisłych kalkulacjach nie doprowadzi do harmonji wewnętrznej Świata Pracy a stąd i do najwyższej wydajności.[3])

Od zwierzchnika tedy wymaga nietylko wyższego wykształcenia, jak Taylor, ale: nieskończonej dobroci, wielkiej wiedzy i niezmiernej mocy. (Patrż zakończenie: Ewangelja Wydajności, str. 344).

Ale i u Emersona, w przeniesieniu jego zasad z międzyrasowego i międzynarodowego gruntu amerykańskiego na grunt polski nie znajdziemy wyczerpania wszystkich bodźców ewolucyjnych natury ludzkiej,

Jak się przekonamy poniżej, stanie się dla nas rzeczą jasną że organizacja pracy w danym narodzie nie może się oprzeć na takich, bądź co bądź, bezosobowych i mgławicowych wezwaniach, jak: dobroć nieskończona, wielka wiedza i moc niezmierna.

Zrozumiał to nasz organizator i jakby w ślad za wskazaniami Mickiewicza związał swoją organizację nie z programami i z systemami amerykańskiemi ani europejskiemi, nie z temi, lub innemi hasłami, ale z objawieniami bytu narodowego, już wcielonemi, zindywidualizowanemi, ujawnionemi w osobach żywych i w żywych uczuciach.

Dla uwypuklenia atoli różnic zachodzących między naszą omawianą tu organizacją pracy a innemi poświęcimy jeszcze słów kilka jednemu z najbardziej uznanych i sławnych reformatorów zasad organizacyjnych, Henrykowi Fayolowi.

Otóż ten do najpierwszych obowiązków organizatora-administratora zalicza umiejętność: przewidywania, organizowania, rozkazywania, koordynowania i kontrolowania (właściwie jeszcze obserwowania).

Jak widzimy więc i tu niema mowy o jakiemś umiłowaniu swojej placówki, ani też o wprowadzeniu w nią ducha bohaterskiego.

A to właśnie, to znaczenie decydujące w pracy, tych właśnie motorów psychicznych pojął i w sposób odpowiadający ideałom współczesności wcielił do swojej organizacji nasz organizator.

Jak już wspominaliśmy, nie mówił on robotnikom: bądźcie jako ci wszyscy, ale powiedział im: bądźcie wy, jako ta I-sza brygada robotnicza, a ja będę dla was nietylko wiedzą i kalkulacją, ale takim drugim skromnym komendantem „Dziadkiem".

I robotnicy zrozumieli to i odczuli, że prócz zjadania chleba, mają jeszcze do wykonania jakąś misję sławną dziejową, że ta ich „Zdobycz Robotnicza" ma zasłynąć na całą Polskę, na świat cały i ukochali ją i starają się oto upiększać ją jak tylko mogą.

I na to właśnie, na te dwa elementy ich pracy zorganizowanej chcieliśmy zwrócić uwagę czytelnika w artykule niniejszym.

Elementy te przeszły już rok próby i wzbo-

[1]) Wspomniano jedynie w studjum specjalnem, tej organizacji poświęconem, p. t. Z dziejów doświadczeń I-szej robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Zdobycz Robotnicza".

[2]) Patrz: Filozofja Systemu Taylora, str. 49.

[3]) Oto jego słynnych Dwanaście Zasad Wydajności: 1. Jasno określone cele. 2. Zdrowy sąd. 3. Rada kompetentna. 4. Dyscyplina. 5. Sprawiedliwe, uczciwe postępowanie. 6. Dokładne sprawozdanie. 7. Rozkład działania. 8. Wzorce i normale. 9. Warunki przystosowane. 10. Wzorcowe sposoby działania. 11. Pisemne instrukcje. 12. Nagroda za wydajność.

gaciły w ten sposób sumę naszych doświadczeń życiowych.

Dzięki nim stwierdzoną została niewygasająca w narodzie własnym żywotność syntezy elementu wojskowego z elementem obywatelskim (prawdziwe rycerstwo), a także niezbędna obecność czynnika uczuciowego, przywiązania, umiłowania swego warsztatu pracy, nie takiego ślepego jak u Ślimaka w Placówce Prusa, ale takiego życiodajnego, twórczego, płodnego.

Dla ścisłości nadmienimy, że oczywiście oprócz tych pierwiastków specyficznie narodowych w rozwoju tej Spółdzielni Bud. Mieszkaniowej: „Zdobycz Robotnicza" odegrywały rolę bodźców ewolucyjnych i inne zasady i metody, jak te stosowane zagranicą: jak przewidywanie, organizowanie, najściślejsze obliczania i sprawozdania i t. d.

Nadto panował w niej duch czystej spółdzielczości, samowystarczalności, bez żadnych pośredników i przedsiębiorców, wreszcie, duch pracy intensywnej (ponad ośmiogodzinnej), a także osobliwszy system oszczędności, dzięki któremu robotnicy omawianej Spółdzielni zdołali zaoszczędzić w ciągu niespełna roku 216,682 zł. (300 robotników).

Co do rezultatów konkretnych, to te mogą być przedstawione w przybliżeniu w następujących liczbach: domów w budowie — 20 o 170 mieszkaniach i 489 izbach (z czego 70 mieszkań już zamieszkałych), robotników, zatrudnionych, przeciętnie 300. Zarobki robotników wykwalifikowanych do 180 zł. (przy pracy akorbowej do 200 zł.) *tygodniowo*, niewykwalifikowanych — do 60 zł.

Jan Bełcikowski.

Ustawa i wymogi gospodarcze w dziedzinie reformy rolnej.

Od b. v.-ministra sprawiedliwości p. Juliana Władysława Siennickiego otrzymujemy poniższe uwagi w sprawie reformy agrarnej. Autor poddaje krytyce stopień użyteczności, ustawowe rozwiązanie tej palącej kwestji, dokonane przez Sejm i wskazuje praktyczne konieczności, prowadzące do uporządkowania gospodarki rolnej w Polsce Redakcja uważa za konieczne podać te uwagi na forum dyskusji publicznej, z uwagi na doniosłość i zawiłość problemu, jednego z najpoważniejszych w Rzeczypospolitej Odrodzonej.

Zdaje się chyba nie ulegać wątpliwości, iż z pośród źródeł naszego bogactwa narodowego, na plan pierwszy wysuwa się nasza ziemia i jej produkcja. W kraju, w którym 65 proc. ludności żyje z rolnictwa, kwestja rolna ma dominujące znaczenie w szeregu naszych gospodarczych zagadnień państwowych i jest główną troską odpowiednich sfer kierowniczych. W sąsiedztwie przemysłowego Zachodu, o niewystarczającej własnej produkcji rolnej, bogata kraina polska, posiadająca idealne warunki gleby i klimatu ma, zwłaszcza obecnie, w okresie ekonomicznej dezorganizacji Rosji, naturalne prawo do piastowania roli śpichlerza Europy. Wielka wojna, potem zaś inwazja bolszewicka zorały swym niszczycielskim pługiem olbrzymie przestrzenie na terytorjum zaborów rosyjskiego i austrjackiego. Wielkie połacie kraju pokryły się zgliszczami, a miljony inwentarza przepadło bezpowrotnie po wypędzeniu go w r. 1915 wgłąb Rosji. Do dziś dnia wiele gospodarstw, zwłaszcza na wschód od Bugu, nie zdołało się jeszcze całkowicie podźwignąć z ruiny, a i w sercu Polski, skutkiem zaniechania wielu inwestycyj, produkcja rolna znacznie spadła, powodując nawet w swoim czasie dotkliwy brak żywności oraz jej drożyznę.

Udręczeni tysiącznemi dolegliwościami wojny, w tęsknocie za jakąś odmianą, którąby cudownie uzdrowiła świat, poniekąd wreszcie pod wpływem haseł, idących ze wschodu, jęliśmy wszyscy, jak na komendę, mówić o reformie rolnej. Rychło stała się ona przedmiotem licytacji stronnictw politycznych w okresach przedwyborczych, a w sejmie potoczyła się wartko, przybierając, zależne zresztą od przypadku oblicze. Przy decydowaniu tej tak ważnej i złożonej kwestji sejm poszedł po drodze najmniejszego oporu, a głosy ostrzegawcze specjalistów i znawców ginęły beznadziejnie w chórze politykujących laików.

W pierwszym rzędzie sparaliżowano parcelację prywatną, dobrowolną, nadając jej miano „dzikiej". Wieśniak, zgarniający w okresie drożyzny produktów żywnościowych oraz inflancji walutowej astronomiczne cyfry marek papierowych usiłował napróżno dokupić sobie nieco ziemi choćby gdzieś dalej, na kresach. Ustawa mu tego zabraniała, tysiąc formalności jeżyło się na drodze, wprawdzie obiecywano mu kiedyś złote góry i to całkiem darmo, tymczasem wyjątkowa jego konjunktura mijała bezpowrotnie, gromadzone zaś miljony topniały bezużytecznie w komorze, albo też przemieniały się na równie dla chłopa użyteczne przedmioty, jak np. fortepiany, lub kiecki jedwabne. Po reformie monetarnej wieśniak ocknął się równie ubogim, jakim był poprzednio, (z tą różnicą, iż tymczasem wszelkie fabrykaty tak zdrożały, iż stały się dlań niedostępne), a uchwalona reforma rolna obdarowywała w pierwszym rzędzie chłopa bezrolnego, parobka ze dworu. Nie będę się tu rozwodził nad rezultatami mechanicznie przeprowadzanej ustawy rolnej. Omawiali to lepiej odemnie na szeregu jaskrawych, z życia zaczerpniętych przykładów między innymi tacy znawcy ekonomji rolnej, jak pp. Stecki, Chrzanowski, Plutyński.

Pocięto postaw cennego sukna i rzucono je nagim ludziom, wołając: „poszyjcie sobie zeń szaty bogate!". A ludzie obdarowani, nie wiedząc, jak zabrać się do tego, nie mając ku temu potrzebnych narzędzi, ni środków na ich nabycie, rychło piękny ten dar zmarnowali i oto powstała cała plejada nowego proletarjatu rolnego; bez budynków, bez inwentarzy, bez gotówki obrotowej, ludzie ci znaleźli się niejednokrotnie w takich opłakanych warunkach, że z żalem dziś wspominają dostatnią i beztroską egzystencję parobków folwarcznych.

A rezultat gospodarczy? Jeśli parcelacji uległ folwark dobrze administrowany, to można przewidzieć z góry, iż wydajność jego spadnie do granic

minimalnych. Żyzna dotąd ziemia, nie zasilana obornikiem, nie mówiąc już o nawozach sztucznych żywi z wielką biedą jedynie swego właściciela, a warsztat gospodarczy, który dotychczas rzucał na rynek handlowy pokaźne ilości doborowego ziarna, buraków cukrowych i mleczywa, zostaje wykreślony z listy producentów, nie sprzedaje nic absolutnie, co, nie mówiąc już o eksporcie zagranicznym i naszym bilansie handlowym, poważnie zagraża wyżywieniu miast i naszej armji. Powie ktoś może, iż za lat kilkanaście gospodarz ów nauczy się w końcu gospodarować prawidłowo, zdobędzie potrzebne do eksploatacji fundusze i zacznie potrochu też produkować na sprzedaż. Ale czy jesteśmy dość na to bogaci, by módz sobie pozwolić na tego rodzaju doświadczenia gospodarcze, na wykreślenie w okresie ciągłego jeszcze kryzysu gospodarczego Polski, całego szeregu pożytecznych jednostek produkujących, na zniszczenie warsztatów gospodarczych w imię problematycznego dobrobytu za lat kilkadziesiąt?... Narazie jest to czysta strata w naszym bilansie produkcji i bogactwa narodowego.

Zdarza się niekiedy, na byłych, tak zwanych majorackich folwarkach, że obdzieleni ziemią nowi gospodarze, w poczuciu swej bezsilności finansowej, oraz nieumiejętności samodzielnego zarządzania swoją posiadłością, oddają narazie swe działki gromadnie w dzierżawę lub zarząd dotychczasowemu dzierżawcy owego folwarku. Co roku następuje podział zysków i z uzyskanych pieniędzy parcelanci wznoszą sobie stopniowo budynki, zaopatrują się w bydło, konie i narzędzia. Jest to może najrozumniejszy, przez życie podyktowany sposób przejścia z rąk administracji jednolitej do drobnych gospodarstw indywidualnych. Sposób ten jednakowoż bardzo rzadko jest stosowany i na ogół biedni „szczęśliwcy" borykają się jak mogą ze swą nędzą, mieszkając w straszliwych warunkach sąsiedzkich i zdrowotnych, gromadnie po stajniach dworskich, lub w nędznie skleconych lepiankach. Ziemia zaś, pozbawiona nawozów i właściwej uprawy, rychło jałowieje i nierzadko bywa porzucaną przez swych właścicieli. Na kresach wschodnich zaś, egzystencja ta jeszcze mocno komplikuje się przez niechętny stosunek ludności miejscowej, o czem tak pouczająco pisze w swej ostatniej pracy p. Władysław Studnicki.

Historia est magistra vitae, niestety myśmy o tem zapomnieli. Przystępując do uchwalenia reformy rolnej, chcieliśmy stworzyć ustawę, którąby zadziwiła świat cały. Mówili o niej, a niejednokrotnie decydowali nawet, ludzie, którzy o rzeczy nader mętne mieli pojęcie, nieraz nie obejmując całokształtu tego problemu, lekceważyli sobie przykład i doświadczenie innych narodów, dążąc jedynie do jaknajrychlejszego zrealizowania poczynionych swym wyborcom obietnic.

A szkoda, że nie porównano metod, stosowanych gdzieindziej, albo choćby i na ziemiach naszych, przed uzyskaniem niepodległości Polski. Z pośród przedwojennej praktyki kolonizacyjnej, na czoło wysuwa się system rządu pruskiego, który zawczasu zaopatrzywszy parcele w potrzebne budynki, inwentarz, narzędzia rolnicze i ziarno, dopiero przystępował do obsadzenia na nich gospodarzy, nader starannie dobierając kandydatów i wymagając, aby ich wiedza rolnicza oraz doświadczenie gospodarskie na właściwym stały poziomie. W ten sposób powstał ów zastęp drobnych, znakomitych gospodarstw, będących do dziś dnia na terenie Wielkopolski i Pomorza przedmiotem podziwu i pewnej zazdrości dla naszych włościan, z b. Królestwa i Małopolski. Doświadczenie pruskie dowodzi, że mała jednostka rolna może z równym pożytkiem produkować dla kraju, o ile jest od początku we wszystko konieczne dla gospodarstwa zaopatrzona, następnie zaś, obrabiana przez fachowego, postępowego gospodarza. Ale do tego niezbędne są wielkie fundusze państwowe, oraz zastęp wykształconych fachowo według najnowszych metod gospodarzy. Niestety nie rozporządzamy ani jednem, ani drugiem. Wprawdzie dużo uczyniono i czyni się jeszcze dla podniesienia poziomu gospodarstw drobnych, mając jednakowoż do czynienia z niezmiernie konserwatywnym elementem, musimy stwierdzić, że olbrzymia większość chłopów naszych z uporem stosuje jeszcze metody z czasów króla Ćwieczka, a kategorja bezrolnych, (przeważnie byli parobcy dworscy) nawet i tej sztuki nie posiada. Przerobić odwieczne nawyki gospodarcze starszego pokolenia jest pracą niesłychanie trudną, całą zatem energję należałoby mojem zdaniem skierować w celu fachowego wykształcenia młodego pokolenia. Nie posiadamy zbyt wiele niższych szkół rolniczych, ale i te, gdyby były zapełnione, przyniosłyby niezmiernie wiele pożytku. Niestety jednak stoją one niemal pustkami, że wymienię choćby taką szkołę w Golątkowie, w Pułtuskiem, lub poprostu luksusowo urządzoną szkołę w Zamościu. Nie jest to niechęć naszego włościaństwa do wiedzy wogóle, gdyż jednocześnie gimnazja humanistyczne przepełnione bywają przez mozolnie zdobywających maturę synów gospodarskich, lecz niedocenianie potrzeby wiedzy rolniczej, bez której jakoby doskonale można się obejść. Prędzej jeszcze zachęci chłopa do jakiejś postępowej metody przykład naoczny plonów sąsiedniego dworu i w związku z tem należy cenić wysoko dobroczynne skutki promieniowania kultury rolnej dokoła centrów intensywnej gospodarki rolnej; ale i sam dobry przykład nie wystarcza, gdy brak odpowiedniego zrozumienia, czego dowodem jest choćby niezmiernie nędzny stan gospodarstw kurpiowskich w pow. Kolneńskim np., gdzie nadgraniczni gospodarze niczego nie nauczyli się od swych sąsiadów z poza kordonu i kwitnący stan nadgranicznych kolonji niemieckich na glebie identycznej z kurpiowską, nie zachęcił jeszcze nikogo do ulepszenia swego systemu rolnego. Mamy tu zatem jeszcze niezmiernie dużo do zrobienia, zważywszy upór i pewną niechęć naszego chłopa do wszelkich inowacyj.

Na terenie b. zaboru rosyjskiego stosowano system parcelacyjny bardzo prosty i niepozbawiony wielu zalet. Gdy w jakiejś wsi było już chłopom zaciasno, upatrywali sobie folwark (niekiedy nawet w okolicy dość odległej), zazwyczaj słabo-

szej kulturze, gdzie właściciel miał trudności w utrzymaniu się przy nim ze względu na działy, lub na inne jakieś powody. Wówczas grupa gospodarzy sprzedawała swoje działki sąsiadom, którzy płacili im wysokie ceny za możność powiększenia i zaokrąglenia karłowatych swych gospodarstw. Uzyskane tą drogą fundusze pozwalały sprzedawcom nabyć znacznie większy obszar na parcelowanym folwarku, dokąd przenosili się wraz ze swym inwentarzem i narzędziami rolniczemi. Pozatem przychodził im jeszcze z wydatną pomocą Bank włościański, udzielając pożyczek na dogodnych warunkach. Do danego folwarku przyjeżdżał delegat rzeczonego banku, sprawdzał, czy struktura wykrawanych gospodarstw odpowiada warunkom prawidłowej eksploatacji, oraz ustanawiał wysokość pożyczek, w zależności od wartości gleby. Cała ta manipulacja trwała niedługo i szła bardzo sprawnie; włościanin, nienarażony na długie formalności, (cechujące jeszcze niestety nasze podobne poczynania), wchodził w posiadanie zgrabnej kolonji, na miejsce zdewastowanego folwarku powstawały liczne, zamożne osiedla chłopskie, a w rodzinnej wsi znikały gospodarstwa karłowate. Widać z powyższego przykładu, że dla upełnorolnienia karłowatych gospodarstw nie jest niezbędnem rozparcelowanie najbliższych, nieraz wysoko zagospodarowanych folwarków. Drobny rolnik chętnie przeniesie sie w inne okolice kraju, byleby otrzymał większy i dogodniejszy kawałek ziemi.

Na terenie imperjum rosyjskiego sprawa rolna przedstawiała się zozpaczliwie. Obok olbrzymich dóbr obszarniczych, biła w oczy nędza niezliczonych karłowatych gospodarstw chłopskich, nękanych jeszcze na domiar złego t. zw. wspólnotą. Od czasu rewolucji 1905 r., sprawa rolna stała się hasłem większości stronnictw politycznych, („ziemla i wola"), a nawet i przez czas pewien troską rządu. Rozpoczęta przez Stołypina, ówczesnego premjera, reforma rolna nie doczekała się urzeczywistnienia; ciemny lud zaś, rozkołysany marzeniem posiadania na własność możliwie rozległych przestrzeni, w imię przekonania, że „im więcej ziemi, tem mniej przy niej pracy, gdyż trawa i tak sama rosnąć będzie", tłomaczył sobie później motywy wielkiej wojny zbożnem pragnieniem cara dostarczenia ludowi swemu nieobjętych terenów kolonizacyjnych, któreby wystarczyły dla obdzielenia całego włościaństwa. Nic też dziwnego, że wraz z rewolucją bolszewicką lud przeprowadził sobie doraźnie reformę rolną, paląc dwory i rabując folwarki, Te przykłady nas nęcić nie mogą.

Łotewska reforma rolna, zagarniająca dobra obszarników bez odszkodowania, miała za podłoże tło polityczne: właścicielami dóbr byli wyłącznie znienawidzeni baronowie niemieccy, pamiętni ze swych straszliwych represyj za rewolucję 1906 r., obdarowanym zaś był pracowity i światły chłop łotewski, rdzeń tego szczególnego narodu, który w kolei wieków nie wytworzył własnej swej arystokracji.

W Czechach po wielkiej wojnie przeszła gładko ustawa o reformie rolnej, zawierająca mądrą klauzulę, gwarantującą właścicielowi folwarku w razie rozparcelowania jego własności, zwrot kosztów wszystkich ostatnio dokonanych inwestycyj i ulepszeń rolnych. W ten sposób zapobieżono dewastacyjnej gospodarce na obszarach, zagrożonych wywłaszczeniem, a dzięki wysokiemu poziomowi wykształcenia rolnego chłopa czeskiego, zdołano utrzymać wysoką skalę produkcji rolnej kraju.

Taka troska o ciągłość i jednakie wysokie napięcie produkcji rolnej winna być i w Polsce głównym motorem wszelkich zamierzeń rolnych. I jakkolwiek za nader pilne możnaby poczytywać przeprowadzenie reformy rolnej u nas, nie należy jednak zapominać o całym szeregu niezmiernie ważnych zadań, czekających w pierwszym rzędzie na swoje rozwiązanie, a mogące w znacznej mierze ułatwić później samo wcielenie reformy rolnej w życie. Sprawami temi są: nieuregulowane serwituty, karłowate gospodarstwa, szachownica gruntów włościańskich i meljoracje rolne.

Wszystkim wiadomo, jakim cierniem w życiu wiejskiem są serwituty, jak niesłychanie utrudniają prawidłową gospodarkę, nawet na dużych obszarach, oraz powodują masowe niszczenie lasów, że przytoczę tu, jako przykład choćby dobra Zamojskie, o których nawet sami chłopi się wyrażają, iż idąc w obecnem tempie, zniszczenie lasów spowoduje za lat parę zupełne zniknięcie ich z oblicza ziemi. Ten wrzód, umyślnie przez rząd rosyjski pozostawiony, celem nieustannego jątrzenia chłopa ze dworem, winien raz już doczekać się wycięcia.

Karłowate gospodarstwa, powstałe skutkiem ich rozdrobnienia przy działach rodzinnych, dają swym właścicielom nędzną tylko egzystencję. Ustalając pewne minimum, wystarczające dla wyżywienia średniej rodziny, musimy wziąć pod uwagę wartość gleby, warunki komunikacyjne oraz rozwój kulturalny danej okolicy. Przeciętnie przyjęto, jako jednostkę wystarczającą, obszar 6 hektarów, który jednak na kresach wschodnich np. musi być podniesiony do 10 ha. Statystyka wykazuje, że na 3,232,734 małych gospodarstw (do 50 ha), jednostki wynoszące poniżej 5 ha stanowią aż 65 proc., przeciętna zaś ich powierzchnia nie przekracza 2,13 ha, a na samo ich uzupełnienie już nie do 6-ciu, ale nawet tylko do 5-u ha, nie wystarczy nawet całego zapasu ziemi, którym możemy rozporządzać na zasadzie ustawy o reformie rolnej. Karłowate gospodarstwa należy poczytywać na całokształcie krajowej produkcji rolnej, jako pasożyt, dający nam tylko cyfry ujemne. Eksploatowane prymitywnie, dają swym właścicielom nędzne utrzymanie i są jedynie gniazdem proletarjatu rolnego. Uzupełnienie tych jednostek, oraz ustawowe zapobieżenie ponownemu ich rozpadaniu się jest niezmiernie doniosłem zadaniem do uskutecznienia na czas najbliższy.

Szachownica gruntów, to z kolei największa bolączka kwestji rolnej w Polsce. Przestrzeń gruntów, wymagających scalenia, wynosi na całym obszarze Polski aż 9 miljonów ha. Występując najłagodniej w 3 województwach zachodnich, przybiera szachownica w b. zaborze rosyjskim rozmiary zastraszające, a w Małopolsce poprostu potworne. Zdarza się, że gospodarstwo 20-o hektarowe bywa

rozrzucone w kilkudziesięciu miejscach, zajmując czasem szerokość jednego zagona zaledwie. Łatwo sobie wyobrazić, jak utrudnioną jest gospodarka w tych warunkach; nie mówiąc już o mitrędze, spowodowanej odległością gruntów, gospodarz bywa narażony na nieustanne szkody i zatargi sąsiedzkie, stąd zaś procesy, przechodzące z czasem w rujnujące pieniactwo. Inicjatywa prywatna kilku działaczy społecznych zdołała w niektórych okolicach (Łomżyńskie) mimo niesłychanych trudności ze strony samych gospodarzy, nakłonić ich do dobrowolnych układów i scalenia szeregu wiosek. Obecnie, władze polskie, przejąwszy tę akcję, pracują w tym kierunku bardzo gorliwie. Prace odnośne, zrazu nieco powolne i słabo zorganizowane, od lat paru potoczyły się wartkim prądem. Rezultat za lata ubiegłe przedstawia się narazie w skromnej cyfrze 50 ha, przeciętnie co roku skomasowanych; akcja ta jednak przybrała obecnie znacznie szybsze tempo i jest nadzieja, iż przy zachowaniu tej normy, po latach 20, 25, szachownica definitywnie zniknie na obszarach polskich. Nie potrzebuję chyba dodawać, jak kolosalne znaczenie ekonomiczne posiada akcja powyższa. W miejsce nędznych gospodarstw, o karykaturalnej strukturze, powstaną jednostki rolne normalne, dobrze zagospodarowane, wzmacniające nasze bogactwo narodowe.

Ściśle z usuwaniem szachownicy związane jest zadanie meljoracji rolnych. Nietylko na kresach wschodnich, gdzie olbrzymie przestrzenie zalane wodą, porosłe nieużyteczną trawą, mogą po zastosowaniu robót osuszających przemienić w żyzne okolice, jest wdzięczne dla takiej pracy pole. I tu, w środku kraju, zwłaszcza we wsiach, pociętych szachownicą, roi się od nieużytków, marnych pastwisk, kwaśnych łączek i nędznych torfowisk. Koszt przeprowadzenia inwestycji przerasta siły właścicieli gruntów, nieraz niezdających sobie nawet sprawy z możliwości i efektu meljoracji rolnych. Tutaj może powiedzieć swoje ważkie słowo jedynie rząd i fundusze skarbowe. Osuszone, uprawne grunta będą w stanie wyżywić tak liczną ludność, że kto wie, czy przymusowa parcelacja nie okaże się wtedy zbędną. Wszystko to zaś zmierzać będzie ku jednemu celowi, którym w tym wypadku jest dobrobyt wieśniaka. A przecie chłop w dobrobycie, to znaczy tyle, co zwiększenie konsumpcji przemysłowej na własnych rynkach, to rozwój przemysłu rodzimego, przy którym znów z kolei znajdzie pewny kawałek chleba stały przyrost ludności, nie mogącej się już z czasem pomieścić na roli.

Zamożny chłop wreszcie, to silna i pewna jednostka podatkowa, zatem podwalina skarbu i potęgi naszej Ojczyzny.

Juljan Władysław Siennicki.

WSROD LWOWSKICH ORLĄT*)

Wojna (tak jak i miłość)—to temat niezmiernie trudny artystycznie: dlatego, że taki potężny, dlatego, że taki ponętny... Zbyt wielu skusił już twórców większych i mniejszych: to też wszędzie na tem polu napotyka się wydeptane koleiny cudzych śladów... wszędzie czyha szablon w ujęciu nastroju, jeśli już nie gotowa, utarta formuła.

W obfitej już dość literaturze wspomnień wielkiej wojny, zbanalizowano, niestety, i trud marszu i nudę okopów, nawet szał bojowy i rany i wstrząsające wrażenie cudzej śmierci... zupełnie tak samo, jak zbanalizowano np. pocałunek. A jednak, mimo to wszystko, pojawi się czasem książka, która wnosi jakieś naprawdę nowe nuty. Ta sztuka udała się właśnie majorowi Wacławowi Lipińskiemu, w pamiętniku, wydanym w ostatnich tygodniach przez Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy, p. t. „Wśród lwowskich orląt“.

Złożyły się tu dwa czynniki, oba zarówno potrzebne: szczery, śmiały talent — i to, że autor przeżył głęboko to wszystko, o czem pisze, że jest, nie literacko jedynie, ale naprawdę, w każdym calu, żołnierzem. Stary wiarus legionowy, poszedł bronić Lwowa, od pierwszego dnia, wprost ze zjazdu akademickiego—najpierw jako adjutant bojowy w Domu Techników, później komendant plutonu na pododcinku „Cytadela“, wreszcie oficer III baonu w dawnym swoim, ukochanym V pułku legjonów, który nadszedł z najpierwszą odsieczą bohaterskiemu miastu.

Z tych kolejnych punktów widzenia daje nam Lipiński obrazki, na świeżo snać utrwalane, zadziwiające swą barwnością, plastyką, siłą wyrazu. Tyle się już czytało o walkach lwowskich—a to przecie połyka się jednym tchem, jak fascynującą powieść. Jest to życie, przyłapane na gorąco, to wybujałe, gorączkowe, a najprawdziwsze życie, jakie wre i rozkwita tylko w takich momentach niezwykłych, w obliczu czyhającego ciągle niebezpieczeństwa...

Brak tu wszelkiej pozy: ani patosu, ani ckliwego sentymentu, o który przecie tak łatwo z okazji tych wszystkich poświęceń i przelanej krwi... Niechże mówią najlepiej cytaty. Oto np. charakterystyka początków obrony:

„Połowa dzieciarni z całego Lwowa była już na polskim odcinku, który rozszerzał się spontanicznie, wybuchając niespodziewanym ogniem to tu, to tam. Peowiacy, różne organizacje wojskowe, drobny oddział Wehrmachtu... a nadewszystko niepohamowany temperament najmłodszego pokolenia, uczniaków ze szkół wszelakich, pozatem t. zw. andrusów, gazeciarzy, pleno titulo „batjarów“ lwowskich — mnożył siły polskie z godziny na godzinę... O broń początkowo daliby się ludzie pozabijać“.

A tu znów fragment bitwy:

„...W tej chwili od chałup przed koszarami poderwał się istny wrzask Indjan, tańczących wojenny taniec... Dzieduszycki gnał z rozwianym płaszczem przed siebie, za nim piorunem ciągnięto na kółkach rosyjski karabin maszynowy wczoraj przez niego zdobyty. W promieniu dwustu kroków darła, co sił w nogach, rzadka tyraliera“.

Gdzieindziej znów opis przekradania się na dworzec po wieści, w okresie największych tam zmagań: „Od kościoła św. Elżbiety weszliśmy naraz w oślepiającą linję światła.

*) *Wacław Lipiński. Wśród lwowskich orląt. Wojskowy Instytut Naukowo-wydawniczy. Warszawa 1927.*

Aleja dojazdowa do dworca przez całą swą długość i szerokość oświetlona była wszystkiemi łukowemi lampami, których zimne białe światło w zawartej ciszy ulicy dziwną budziło trwogę... Rdzawe podścielisko żółtych wysuszonych, bez kropli krwi liści, zgrzytliwie chrzęści pod stopami. Wzrok, ciśnięty wzdłuż linji lamp i odartych z życia drzew, łączy je w zwężającej się dali z jasnym połyskiem przeddworcowego placu. Wysokim rozgłośnym tonem bije w to białe, niesamowite światło alei—karabin maszynowy. Umieszczony gdzieś na Grodeckiem—chwycił trupią linję światła i wodzi po niej posiewem kul, stalowym ich sierpem zamykając dojście do dworca".

Jakaż w tem lodowata groza — aż dreszcz przechodzi. A oto obrazek ze szczególnie zagrożonej placówki, w jakiejś narożnej kamienicy:

— Trzask ukraińskich karabinów dochodził nieco stłumiony, lecz mimo to przykry i podniecający, ze względu na swą niewiarogodną bliskość. Czuło się poprostu za nim oddech strzelca, naciskającego cyngiel.. Wnet też przez zasłonięte okna doleciał przenikliwy, rozdzierający, urwany w połowie słowa krzyk... „Znów kogoś przetrącili: nie mogę tych śmierdzieli oduczyć" — wrzasnął któryś z oficerów... Dwóch chłopaków wciągało szybko za nogi młodego żołnierza. Już nie żył... Ściśnięte wąskie wargi i oczy zapadłe w otchłań. Przewiązany paskiem, zawielki, granatowy płaszcz austrjackiego landszturmisty, pozawijane rękawy, a z pośród ich czeluści wynurzały się drobniutkie ręce dziecka... Do jasnej cholery, skąd on się tu wziął, poco lazł? — darł się porucznik, który snać nie gustował w mowach pogrzebowych. Żołnierze niechętnie ruszyli ramionami... Nikt tego mikrusa nie zna. Dwa dni temu przybłąkał się do nas, wziął karabin i chodził na warty. I tak codzień, co godzinę niemal, zwrócił się do nas prawie z desperacją, por. Bogucki — mówi się... grozi, żeby psiakrew nie chodzili górą, lecz dołem — i nic, wszystko napróżno. Nos se idzie otrzeć, to staje na środku rogu i trąbi, aż go postrzelą! ...Aż cholera bierze człowieka na taką wojnę i takie wojsko.

„Mikrus" tymczasem leżał wśród obłoconej słomy, a pełzające leniwie światło lampy rzucało cień na zapadnięte głęboko jego policzki, sprawiając wrażenie uśmiechu. Lwowski mikrus podśmiewywał się cicho z tego nudnego zrzędzenia oficera nad nim, który się przecież nie bał ukraińców, ani ich kul..."

Niema w tem żadnej „łezki" — prawda? ale jest tem głębszy hołd dla szaleńczego, dziecinnego męstwa... Podobnym sposobem odmalowana jest rola kobiet — mocno, bez komplementów, ale ze sprawiedliwością i szorstką nieco solidarnością kolegi. Niema zresztą uogólnień — są tylko dwa typy niewieście (jakże żywe!) wplecione w kalejdoskop innych rycerskich postaci. Tak więc w „cytadelskiej bandzie": „... rej wodziła panna Janka, tęga pannica z seminarjum nauczycielskiego, przed którą mores czuli przygodni towarzysze broni, jako że panna, w potrzebie, nie gorzej, niż z krótkiego manlichera, potrafiła wygarnąć i w pysk".

Druga — to historyczna już osobistość, Hela Bujwidówna *), która ustawicznie i niepoprawnie towarzyszyła por. Mondowi w każdym obchodzie odcinka" — ta Bujwidówna

*) Dziś p. rotmistrzowa Jurgielewiczowa.

której nazwisko tak przedziwnie harmonizuje z niepohamowaną bujnością natury, z odwagą uroczo żywiołową.

„Mało im było (jej i R. Heyderowi) normalnej pracy ogniowej, więc... przekradali się codzień przez im tylko znane podwórza, płoty, mury, dachy i kominy i tam, zadekowani w jakimś dymniku, bili do ukraińców, na dziedziniec Cytadeli, jak w bęben. Nazywało się to u nich „polowaniem na zasiadkę", czem się oboje przejmowali, jak najświetniejszym sportem. Mimo zakazów i awantur, jakie im z tego powodu czynił Mond—wpaść bowiem mogli w zasadzkę niesłychanie łatwo—nie przestali uprawiać tego namiętnego procederu".

A bezpośrednio potem widzimy tę samą kobietę wśród całkiem innego „urwania głowy", jako gospodynię bankietu, wydanego na cześć odsieczy. W radosnym dniu 22.XI idzie w pierwszej czwórce obrońców przez upojone odzyskaną wolnością miasto, — „w swym polowym płaszczu, z karabinkiem, przewieszonym przez ramię", żołnierz wśród innych żołnierzy. Pyszne są refleksje rannego, tuż po opatrunku. „Bardzo mi słabo, bardzo mi dobrze — tylko co tam się dzieje w Krzyżyżycach, na Pasiekach, w Zboiskach? Musi być nieźle, gdyż za oknemi drży lekka, oddalona strzelanina. Nie taka, gdy kto atakuje, a kto inny się broni. Nie taka, gdy idzie kontratak"...

Wśród tych subtelnych odcieni gatunków ognia, bywa „porywisty" — między kilku innemi śmiałemi neologizmami zwięzłego stylu, chyba najlepszy.

Ale najbardziej lubię tę chwilę kiedy autora wprost ze szpitala, z obandażowaną, bezwładną nogą, porywają towarzysze na „triumfalne pijaństwo po zwycięstwie"—I znów muszę cytować, niema rady...

„Do sali... pełnej dymów, śpiewu i hałasu wnieśli wśród straszliwego ryku Monda: „—Miejsce dla szlachetnego trybuna, miejsce dla trybuna!"... Srogi się podniósł wrzask. Wszystko coniebądź chwiejne z kurzącemi się łbami, szło z kieliszkami ku mnie. Ten gratulował, ów kondolował, jeden płakał, inny się śmiał, a każdy pod wpływem wiśniówek rozczulony był i wniebowzięty. Takieśmy im dali w skórę... tak dali... daj pyska, że ci się udało!.. Kłócili się teraz zawzięcie, jak to było z tym kontratakiem, że wyskoczyli zawcześnie... bardziej trza było ich podpuścić, głębiej wcisnąć... Ktoś komuś świadczy poważne dusery, że wisz, morus jesteś, a miałem cię za świnię... Wreszcie: „Co użyjem, to dla nas" zaintonował ktoś, już prawie z pod stołu. Wnet podchwycono ulubioną melodję. Śpiewali wszyscy, rozparci na krzesłach, podnieceni, z błyszczącemi oczyma. „Co użyjem, to dla nas, jutro już nie będzie nas"... Bo w każdej chwili może wpaść telefonista ...czy oficer i krzyknąć: — Alarm, panowie! do swoich oddziałów!... W pięć minut tam będą, w szalonym trzasku ognia, w wizgu granatów, w piekielnym rumorze walki dokończą swój śpiew".

Troszkę, troszkę przypomina ta scena inną ucztę żołnierską, równie bliską placu boju... w Hiszpanji, w Val de Pénas... gdzie to „wołał cały półpijany stół...—Pijmy zdrowie młokosa Cedry!"

Jednem słowem: kto był kiedykolwiek na tej, czy innej wojnie, ten pozna, jak żywe, jej niezapomniane rysy w tych jędrnych, męskich opisach—a kto jej nie zaznał na lwowskim właśnie froncie, niechże gorzko żałuje i czyta „Wśród lwowskich orląt".

C. Zawiszanka.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO.

„Wieczór na Wschodzie"

STANISŁAWA BALIŃSKIEGO

Warszawa 1928. Mortkowicz.

Powinowactwa psychiczne, łączące Stanisława Balińskiego, autora „Miasta księżyców" z t. zw. grupą poetów Skamandra są minimalne, prawie żadne. Chyba tylko umiejętność dojrzałej kompozycji wiersza, szczerość poetyckiego odczuwania i talent, prawdziwy, piękny talent, będący zawsze jedyną i najlepszą legitymacją pisarza.

Baliński kroczy swojemi drogami. Idzie temi drogami nastojów i poszukiwań, któremi szedł przed nim cudowny i jakże głęboki poeta niemiecki, Dauthendey; idzie szlakami porzuconych dróg i dalekich podróży, po których rozwłóczone są wszystkie najsubtelniejsze, najpiękniejsze wspomnienia i niespodzianki.

Podróże! Ten ton w poezji polskiej nowy i nieznany, ton, związany z odmianą naszego życia państwowego, pozwalający i nam wychowywać i doczekiwać się swoich Lottich i Claudelów; ton bezpośredniości kontaktu z cudownością egzotyzmu i mądrością rzeczy obcych wdziera się do polskiej twórczości wszystkiemi drogami artystycznego wyrazu. I jeżeli z krótkiego pobytu w Persji przywiózł Stanisław Baliński w darze polskiej poezji perły swojego Wieczoru na Wschodzie, to — naśladując w rzeczach dobrych inne narody i państwa, — powinniśmy każdemu utalentowanemu i młodemu poecie ułatwiać wojażowanie po dalekich światach, które nietylko pogłębia wrażliwość, ale otwiera nowe, nieznane perspektywy.

W tej małej książeczce, złożonej z najpiękniejszych wierszy, zamknięty jest cały niesamowity zapach egzotycznej Persji, odkryte i w metaforze poetyckiej odgadnięte źródła najdziwniejszej psychiki, poetyckiej i twardej, religijnej i perwersyjnej. Tu, na skrzyżowaniu porzuconych dróg, na których wyznają się tylko najstarsi derwisze, powstawały wielkie kultury, rodziły się twórcze religje, zwyciężał święty element ognia i toczyły się od wieków walki Ormuzda z Arymanem. Tu w tym dziwnym kraju „gdzie młodzi poeci chodzą z ptaszkami w klatkach i w ustach z irysem", żył działał i tworzył wielki poeta Hafis, którego „Kassydy" stały się własnością narodów, — śpiewane przez wszystkich mułłów i pasterzy, chłopów i mieszczan.

Dziwny kraj, w którym poezja wplata się w życie jako najprawdziwszy jego wyraz. U grobu Hafisa, w cyprysowym Szyrazie, czytano poecie „Kassydy" zmarłego mistrza. „Głosem tak smutnym, jakby Hafis umarł wczoraj"; czytano mu słowa „srebrnie napisane", słowa proste, głębokie, arcyludzkie, mądre i jakże wzruszające.

Poezją Wschodu przesycone są też wszystkie wiersze Balińskiego. Wieje z nich melancholja smutku, „który się nie zmienia", jakaś najsubtelniejsza muzykalność obrazu i najczulsza wnikliwość w uduchowienie żywiołu. Podróżnik-Baliński — bo ton ten jest jednak dominujący—szuka na spieczonych oazach „pod gwiazdami Orjentu co w sinym klarownym raju jak bogów płoną lampiony" śladów tych podróżników, którzy przed nim kroczyli temi szlakami.

Jednemu z nich, panu de Gobineau, poświęcony jest najpiękniejszy utwór tego zbioru. Jest to jak gdyby ponowne wcielenie się w żywot urojony—a przez to po stokroć prawdziwy—tego, który „przejeżdżał tędy wytworny i obojętny na pozór... ale mu serce pod płaszczem biło przyspieszonem tętnem".

Pan de Gobineau, którego podpis wyryty na kamieniu tak poplątał linje czasu poecie i tak bardzo wzruszył, staje się podświadomie wzorem, mistrzem i najbardziej osobistem przeżyciem artysty. Bo przecież żywy człowiek, blizki kulturą zachodu, temi samemi oczami poety i podróżnika patrzał przed niespełna wiekiem na kolumny Persepolu, na rzeźby króla Cyrusa, na reljefy Ahura-Mazdy. „odtąd się nie zmieniło tu nic, jak nie zmienia nic smutku"... pisze głęboko przejęty poeta, rozważając uśmiech turysty i głęboki niepokój podróży.

Drugim śladem napewno Balińskiemu bliższym, są wspomnienia o Słowackim z jego podróży na Wschód. Wiersz pod tytułem „Ślad" czyta się jak fragment mitologji polskiego romantyzmu. Gdzieś na Libanie siwy Arab opowiada poecie wspomnienia swoje i swego starego ojca o młodym podróżniku, „który miał serce chore". Tym samym motywom poświęcona jest „poetyczność podróży", „Popołudnie wspomnień", i „Kochanki poetów romantycznych".

Jakże to jednak dobrze nie czuć się samotnym na dalekich obszarach Wschodu i umieć nawiązywać ciągłość tradycji z tem, skąd się wyszło. Wiek jeden ledwie przeminął, dużo się w polskiem życiu odmieniło i już zamiast tułaczy—emigrantów, rzucanych po świecie kaprysem przeznaczenia, pojawiają się turyści, podróżnicy, konkwizdatorzy piękna i obyczaju—poeci polscy.

Ta dzisiejsza podróż przestała być ucieczką przed klęską. Posiada wszystkie cechy aktywności i psychicznego imperjalizmu. „Na to dalekie są miasta, kąpane we wschodniem niebie, żeby w nich błądząc samotnie, poczuć się bliższym siebie",pisze poeta we wstępnym wierszu. Na tem poszukiwaniu blizkości samego siebie, zbudowana jest cała jego poetycka filozofja podróżnika. Dzisiaj „cały świat już jest ojczyzną", „a domem jest każdy hotel"; „ziemia mieści się w sercu i tylko serce jest bez

końca". Poezja podróżnicza Balińskiego jest podróżą po własnem sercu, jest szukaniem rzeczy nieograniczonych w ciągłym niepokoju, z którego wyrasta pragnienie wieczności, ciszy i nicości.

Nic też dziwnego, że z tła takich nastawień duchowych, wyrastają piękne obrazy współczesnej Persji o głębokich nastrojach religijnych („Pozdrowienie wieczoru"), wnikliwie poetycka synteza Wschodu, zamknięta w lapidarne słowa „Mędrca z Szyrazu". Każdy niemal wiersz staje się przypowieścią, balladą, wtórem legendy wschodniej. A koroną tych zachwyceń jest „Elegja o ziemi rodzinnej", duchowy nawrót w nowogrodzkie i nadniemeńskie strony, których poeta „kochać nie umie", a bez których umarłby z żalu.

W poezji Balińskiego przezwyciężony jest płytki patrjotyzm przez głęboko patrzącego artystę. Prawda piękna staje się rzeczywistością w cudzie „Tancerki z Damaszku" i w testamencie „Poety Kisai" jakże tej prawdzie zaprzeczyć i inne nad nią wywyższyć?

Najgłębszym i najbardziej indywidualnym jest Baliński w tych kilku wierszach, w których z Proustowską wnikliwością snuje analizy poetyckiego jasnowidzenia. („O młodości i cieniach", „Kontrasty", „Ziemia i noc", „O podróżnikach"). W utworach tych wypowiada się czysta poezja, kryształ abstrakcji, operujący sekundą wzruszenia i błyskawicą refleksji.

„Wieczór na Wschodzie" jest już nie zapowiedzią, ale wyrazem świadomego swych celów, poważnego talentu poetyckiego o dużej intelektualnej i emocjonalnej kulturze artystycznej.

Emil Breiter.

Niebo.

Matka Boska ma długie, przezroczyste dłonie,
Pachnie niebem i w słodkiej niebieskości tonie,
Pan Bóg, gdy ją zobaczy,
Że taką piękność stworzył, zawsze się z szczęścia rozpłacze.

Archanioł Gabrjel gra ciągle niebieskie walce,
Skrzypcami jest serce jego przez białe trącane palce.
Muzyka jest taka ukojna, jak balsam wylany na rany,
A krucha, jak kwiat z porcelany.

Wszyscy święci są zawsze w purpurowych szatach
(Niema tam w niebie zimy, niema także lata)
Szaty ich z krwi są zrobione, którą za Boga wylali,
W czasie, gdy się wśród nas trędowatych grzeszników tułali.

Pełno kadzideł jest w niebie z ich pieśni i pełno mięty,
Śpiewają bez odpoczynku: święty, święty, święty!
Każde „święty" jak wiśnia im się w ustach rozpływa
Serce jest wiśni pełne—serce słów struga żywa.

Jakżeż by się cieszyć nie miał Bóg na niebie,
Gdy tyle szczęścia widzi dookoła siebie?
Nieprawda jest, że myśli o swej strasznej męce,
Całuje tylko świętych i ściska im ręce.

Czasem tylko nad nami zapłacze boleśnie
Mieszać łez swych piołunu z nieba szczęściem nie śmie.
Zamknie się wtedy w swojej złocistej komorze.
Święci kryją się w domach. Deszcz jest w niebie na dworze.

Wojciech Bąk.

ZDROWIE

(NOWELA).

— Doktór cię leczy ziołami?... Aha, ziołami, które przywożą z dalekiego Tybetu!..

— Prawdziwy cudotwórca — mówisz o tym doktorze cichutko, żeby nie nadwerężać gardła, z ręką przy szyi, i twój szept wsiąka w ciemną ciszę pokoju, rozwiewa się jak dym. Drugą ręką, wychudłą i bladą, ledwie nie przejrzystą, jak ręce męczenników na świętych obrazach, zakreślasz w powietrzu delikatny gest i uśmiechasz się niewysłowionym, łagodnym śmiechem szczęścia.

— Prawdziwy cudotwórca!

Siedzimy tak we dwuch, ty i ja, o szarej godzinie zmierzchu. Widzę twoją mizerną twarz w mroku gęstym jak popiół, twarz, wycieńczoną i pożółkłą, i oczy, co goreją w niej jak karbunkuły. Jest mroczno, i całą twoją postać zasłania tuman ciemności, co się podnosi milczkiem, na kolanach, z podłogi. Pamiętam tylko, że siedzisz głęboko w wygodnym fotelu, owinęy po pas grubym włochatym pledem, w serdaku, z rękoma na poręczach.

— Przyjmuje chorych nieinaczej jak do trzeciej i od samego rana jest naczczo!—mówisz tajemniczym szeptem o swoim lekarzu.

— Aha, naczczo!.. Rozumiem!.. No, to jest europejska sława! Wyleczy cię z pewnością, kochanie...

Omglone dymem i pyłem okna zaróżowiły się od blasków zachodzącego słońca, a za niemi zaróżowił się twój nocny stolik przy łóżku, mały ołtarzyk z armją flaszeczek, cudownych ampułek zdrowia. Zaróżowiła się też noga, sosnowa deska, umocowana prostopadle jak ściana u wezgłowia łóżka; wstawiono ci ją tam, bo sypiasz w pozycji siedzącej. Serce.

— Zimą pewnie wyjedziesz w góry?..

Spojrzałeś na mnie, zgorszony. Zaprzeczasz bojaźliwym gestem. — Serce! — szepnąłeś zeschłemi wargi. Prawda, klimat w górach nie sprzyja chorym na serce! Zastanawiam się nad twoją uwagą, patrzę na deskę u wezgłowia—i gotów jestem uwierzyć, że ty rzeczywiście jesteś chory na serce. Ale to nasze wzajemne, utajone kłamstwo samo wydobywa się zaraz na wierzch jak oliwa, i siedzimy—nieprzyjemnie zakłopotani i zawstydzeni. Sięgnąłeś ręką po szklankę z przygotowanem lekarstwem; spojrzałeś na nie pod światło; płyn bezbarwny, gęsty, lepki jak syrop. Pijesz starannie, z uwagą. Kto lepiej niż ty rozumie całą doniosłość tej chwili, w której przyjmujesz lekarstwo?... Niech ci idzie na zdrowie, kochanie!.. Zaczynam mówić prędko, bardzo prędko, wiele, bardzo wiele, żeby przerwać nareszcie tę długą, nieznośną, męczącą chwilę ciszy. Mówię o moich kłopotach i zmartwieniach, jestem przemęczony i zdenerwowany.

— O, życie jest bardzo trudne!—przytakujesz zcicha.

Wynajduję tedy różne swoje ułomności, narzekam, powinienem się zacząć leczyć, zmyślam chorobę nerwów.

— Nie uwierzysz, jak mnie ta praca wyczerpuje! — mówię, zatroskany. Chciałbym upokorzyć

przed tobą, zgnębić moje grubjańskie, ordynarne zdrowie! Żeby nie było takiej przepaści między nami, między twoją chorobą a mojem zdrowiem!.. Chciałbym jak najprędzej, zaraz, zmniejszyć, wyrównać tę upokarzającą różnicę, srogą niesprawiedliwość, zasypać otchłań, która nas rozdziela! O, wierzaj, drogi przyjacielu, wstyd mi mego zdrowia przed tobą!

— Wszyscy jesteśmy w gruncie rzeczy chorzy, mówią lekarze. Spostrzegam się naraz, że powiedziałem za dużo, lękam się, żebyś nie przejrzał ukrytych celów mojej gadaniny, przestaję mówić.

Z ciemności wynurza się coraz wyraźniej rubinowy płomyk lampki oliwnej w kącie pokoju pod obrazem Matki Boskiej. Zbliża się szósta, muszę już iść, narzeczona czeka na mnie!

— Kłaniaj się jej ode mnie! — prosisz wątłym szeptem. Całując cię na pożegnanie, czuję słodką, dojrzałą gorączkę, w której osiadłeś i wśród której przebywasz jak w obłoku, i ogarnia mnie trwoga. Odchodzę. Słyszę jeszcze w kurytarzu, jak podnosząc nieznacznie głos dziękujesz za książki. — Nie męcz się, kochany!.. Wkrótce będę znowu i przyniosę ci nowe!

Trudno nwierzyć, że ten szczęk zamykanych drzwi oznacza linję naszej granicy.

O, Boże, co za szczęście!... Czy to ja właśnie idę ulicą? Czy to ja dotykam elastyczną stopą chodnika?.. Czy to ja kroczę, biegnę, pędzę ulicą, świeży i zdrów?.. Czy to ja wchłaniam łakomie zimne i mocne jak alkohol hausty powietrza?.. Czekajcie, oddech tłoczy się w gardle... Więc od dzisiaj wszystko jest możliwe, i wszystko mieści się w małym, tętniącym woreczku, co kurczy się i rozszerza, wylewając, moją drogocenną, ciepłą, życionośną krew!.. Więc od dzisiaj — byle jej starczyło na długo, i—byle niezmordowana, żywa, pulsująca, rozhulana jak morska fala — broniła mnie, ochraniała, i nie pozwoliła, żeby zwiotczało moje ciało, zwiędła skóra, omdlały mięśnie, przygasły policzki, wyblakły oczy!.. Oh, jakże ci współczuję, chory przyjacielu!

Jakże ci współczuję i lituję się nad tobą!.. Pod twojemi różowemi od słońca oknami przelewa się potężne, groźne, wspaniałe jak ocean życie, ale ty jesteś niedołężny i bezsilny wobec jego okrutnej urody!.. I wydajesz mi się teraz, uwięziony w swoim ciemnym pokoju, taki słaby, i niedołężny, i godny litości, że prawie zaczynam myśleć o tobie z niechęcią! Jakby to była twoja wina, że jesteś chory!? A jednak mam do ciebie o to pretensję!.. Powoli moja niechęć przemienia się w pogardę, i myślę o tobie z odrazą! Oh, przyjacielu mój drogi, chory mój przyjacielu, co śpisz, deskę mając prostopadle wstawioną u wezgłowia!... Współczuję ci, i litość moja, cierpienie i rozpacz rozdzierają mnie jak kliny wszczepione w pień drzewa, i w niwecz obracają moje radosne obrazy życia, i nie pozwalają myśleć o tobie inaczej jak ze łzami w oczach!.. Ale oto wiatr otarł mi łzy!.. I wtedy znowu pręży się we mnie, rośnie i wybucha bunt i nienawiść przeciwko tobie!

Buntuję się przeciwko twej chorobie przeciwko tobie samemu, że jesteś niedołężny, bez sił i bez krwi, i że gorączka cię pożera. Nienawidzę cię wtedy wszystką zuchwałą mocą mojego zdrowia! I pysznię się znowu i weselę, i skaczę na ulicy, i klepię się po udach jak dzikus, i odbijam się piętami od ziemi, patrząc na różowe obłoki na niebieskiem niebie. I wołam na cały głos, krzyczę z całego gardła, drę się pełną piersią: Zdrowie! Zdrowie! Zdrowie! (Barbarzyństwo! barbarzyństwo! Jakbyś ty właśnie był winien swej chorobie...)

Spotkaliśmy się z moją narzeczoną w parku. Opowiedziałem jej o tobie, kochanie! Wysłuchała z żalem. Zasmucona, opuściła głowę, ukryła twarz w wysokim futrzanym kołnierzu. Szliśmy, bez słowa, wąską alejką, i mokre po jesiennym deszczu witki i pręty krzaków smagały nas po twarzach, ramionach, rękach.

Zaszliśmy w ścieżkę bez wyjścia, nie było nikogo, tylko wieczór słaniał się pod drzewami, zasłaniał nas przed całym światem. Wtedy moja narzeczona, przytulając się do mnie, wychyliła z nad futrzanego kołnierza policzek do pocałowania, policzek rumiany, zziębnięty, pachnący brzoskwinią...

Będziemy mieli synka! Synek będzie różowy tłusty jak kluska, zdrowy! O Boże, co za szczęście!

Władysław Rymkiewicz.

U Niemców.

(LAUREACI NAGRODY SCHILLERA.)

Nagrodę literacką im. Fryderyka Schillera, za rok 1927, otrzymali: Franz Werfel, Fritz von Unruh i Hermann Burte.

Wiedeńczyk Werfel należy do najznakomitszych współczesnych twórców niemieckich. Uprawia on niemal wszystkie gałęzie twórczości literackiej. Pisze wiersze, dramaty, powieści i nowele. Jego utwory sceniczne, przeważnie osnute na tle historycznym, cieszą się zasłużonem powodzeniem na scenach niemieckich n. p. „Juarez und Maximilian", „Paulus unter den Juden". Najlepszą powieścią Werfla jest „Verdi", obszerne dzieło, pisane świetnym językiem, a przedstawiające ostatnie 10 lat życia twórcy nowoczesnej opery włoskiej. Od banalnego pojęcia powieści historycznej dzieło powyższe daleko odbiega, jest jednak mimo to cennym przyczynkiem do zrozumienia Verdiego.

Nowele Werfla są przeważnie psychologicznemi szkicami, nieraz groteskowemi o akcji bardzo naprężonej, jak n. p. „Der Tod des Kleinbürgers" (Śmierć mieszczucha), lub tom nowel p. t. „Geheimnis eines Menschen" (Tajemnica człowieka).

Fritz von Unruh, potomek rodziny pruskich oficerów, przełamał podczas wojny światowej tradycję swoich przodków, oświadczając uroczyście: nie chcę mordować! Rzucił mundur oficerski i całą swoją twórczość poświęca idei pacyfistycznej. Dramaty jego „Die Mutter", „Der Sturm", „Der Platz", są potężnym krzykiem przeciw wojnie.

Był to pierwszy niemiecki pisarz, który wyjechał po wojnie do Paryża. Owocem tej podróży jest poważny tom głębokich i trafnych szkiców obserwacyjnych p. t. „Flügel der Nike" (Skrzydła

zwycięstwa). Ostatnio wystawił w Berlinie komedję „Napoleon“.

Trzeci wreszcie laureat Hermann Burte, jest bardzo mało znanym poetą, pochodzącym z Prus. Zresztą nic w tem dziwnego, gdyż poezje jego należą do „cięższego rodzaju“, niedostępnego dla szerszego ogółu. Są to przeważnie liryki refleksyjno-filozoficzne.

HIPOKRYZJA.

W miesięczniku literacko - bibljograficznym „Die Literatur“ ukazały się listy miłosne, zmarłego w roku zeszłym słynnego poety Reiner Maria Rilke'go do jego pierwszej narzeczonej p. Vally von Dawid-Rhonfeld. Listy te pochodzące z lat 1893 do 96, stanowią poważny zbiór i mogą być niewątpliwie ważnym przyczynkiem do poznania poety.

Po ukazaniu się pierwszym listów w wymienionym miesięczniku, rodzina zmarłego poety poczyniła odpowiednie kroki celem zabronienia druku dalszych listów.

NAJDROŻSZA KSIĄŻKA.

Nakładem księgarni berlińskiej Bruno Cassirer wyszedł „Faust“ Goethego w wydaniu luksusowem z litografjami Maxa Slevogta. Książka kosztuje przeszło 1,000 marek, t. zn. około 2,200 zł. Ciekawem jest, jak pójdzie ta książka i kto będzie ją w stanie nabyć.

W REPUBLICE HINDENBURGA.

W dobie republikańskich Niemiec, a nie w czasach Bismarcka czy Wilhelma II, stanie przed sądem poeta-pisarz J, R. Becher, oskarżony na podstawie swoich dzieł literackich, o zdradę stanu i obrazę Boga.

Sprawa Bechera poruszyła całą opinję publiczną Niemiec, a przedewszystkiem sferę zainteresowaną, tzn. pisarzy i literatów. Związek wypowiedział się już w tej sprawie kilkakrotnie przez usta tak wybitnych pisarzy jak Heinrich i Thomas Mann.

Proces rozpocznie się 16 stycznia 1928 roku w Lipsku. (*b. h.*)

Nowości francuskie.

Poeta Paul Valery, przyjęty rok temu do Akademji, zyskał ostatnio wielki rozgłos. Poprzednio był mało znany szerokiemu ogółowi to też nagłe powodzenie wzbudziło niechęć zazdrośników.

W „Revue de France“ Wandereme atakuje Valéry'ego, broniąc jednocześnie France'a. Artykuł zatytułowany: „De la clarté et de l'obscurité en littérature“. Albert Thibaudet broni z zapałem Valery'ego w „Nouvelles Littéroures“.

* * *

Nowa książka Bernanos'a (cutora „Sous le Soleil de Satan“) p. t. „L'Imposteur“ opisuje życie powszechnie szanownego księdza-historyka, członka Akademji, który w głębi duszy jest ateuszem. Pono ma to być złośliwa karykatura abbé Brémond'a jednego z najwybitniejszych umysłów wśród kleru francuskiego.

* * *

Na półkach księgarskich ukazały się jednocześnie dwie książki wydane u Grasset'a, obie nadzwyczaj aktualne.

„La trahison des clercs“ Bendy jest głównym atakiem na przedstawicieli elity intelektualnej, w szczególności francuskiej, ostatnich 50-ciu lat. Według Bendy, owa elita zdradziła czyste ideały ludzi służących prawdzie i sprawiedliwości, apoteozując obecnie wszelkie gwałty i wywyższając czasowe interesy partyj i narodów. Autor szczególnie ostro atakuje Barrès'a i Jerzego Sorel'a, a powołuje się na Sokratesa i Spinozę, kapłanów beznamiętnej prawdy.

* * *

Niemniej ciekawa jest książka Albert Thibaudet „La République des Professeurs“. Jest to przegląd sił politycznych obecnej Francji.

Autor twierdzi, że sprawa Dreyfusa wytworzyła temperaturę ideową, która wydała cały teraźniejszy układ sił. Wśród omawianych „Profesorów“ ma na myśli w pierwszym rzędzie Herriot'a, Painlevé'go i Blum'a.

* * *

Jean Bedel, który otrzymał „Prix Goncourt“ na rok 1927 za powieść „Jérôme, 60° Latitude Nord“ jest młodym pisarzem wyraźnie natchnionym stylem i widzeniem Giraudoux i Paul Morand'a. Krytyka francuska odnosi się dość krytycznie do tego wyróżnienia nie przypisując młodemu pisarzowi wyraźnej indywidualności pisarskiej.

* * *

Wyszedł już dalszy ciąg „Anatole France en Pantoufles“ wydany przez sekretarza mistrza Brousson'a p. t. „Itinéraire Paris—Bueos Aires“.

Książka ta zawiera dużo anegdotek z życia mistrza nie przynoszących mu zaszczytu, nieraz dosyć pikantnych. W sferach literackich postępek Brusson'a jest surowo osądzony i uznany za krok w najwyższym stopniu nietaktowny, jedni twierdzą że młody literat wszystko zawdzięcza France'owi, któremu nawet styl „ukradł“, inni tłomaczą go poniekąd, powiadając, że France bardzo źle traktował swego sekretarza i licho go opłacał, co sobie teraz Brusson stara odbić. W każdym razie postępek nie do pochwalenia.

* * *

Dekobra sprzedał wielkiej firmie kinematograficznej w Niemczech swój scenarjusz zatytułowany „Cartier Latin“ za 30,000 dol. t. j. 750.000 fr. Jest to scenarjusz najdrożej opłacony z dotychczas napisanych i zakupionych.

Rosny Ainé żali się w „Intransigeant" na hyperprodukcję literacką czasów obecnych. Zwalcza twierdzenie jakoby przyczyną jej były liczne nagrody literackie. Płodność pisarską uznaje za skutek rozrostu prasy i coraz wzrastającej liczby osób czytających.

* * *

Ostatni numer „Nouvelles Littéraires" podaje entuzjastyczną krytykę biografji Stanisława Przybyszewskiego napisanej przez Ottona Forst Bataglję.

* * *

Prix Fêmina" uzyskała w tym roku Marie Le Franc za powieść zatytułowaną „Grand-Louis" l'Innocent" (éd. Rieder). Autorka jest skromną nauczycielką, która spędziła młode laia w Kanadzie na uciążliwej belferce. sama wartość jej talentu zyskała to odznaczenie niema w autorce cienia autoreklamy i żaden snobizm czytającej publiczności nie zapewnil jej powodzenia. Treść powieści stanowią dzieje serca kobiecego, i jego twórczej mocy.

JIM.

Lubelska grupa poetycka „Reflektor".

Na nowe drogi poezji polskiej!

Przed kilku laty, ludzie interesujący się nową poezją stykali się czasami z nazwą „Reflektora". Ktoś kiedyś bąknął słowo o lubelskiej grupie poetyckiej. Nikomu nie przyszło do głowy, że młodzi poeci z prowincji mają doniosłą rolę do spełnienia właśnie przez ten los, który ich rzucił o 180 kil. od stolicy.

Pismo lublinianów „Reflektor" ukazało się w dość wielkich odstępach czasu 3 razy i umarło naturalną śmiercią wszystkich parjedyków poetyckich. Wina upadku „Reflektora" leżała jednak w nim samym.

„Reflektor" zamilkł. Dopiero w roku bieżącym przypomniał się wydaniem zbiorku poezji p. t. „Kamień". Autorem tego zbioru jest młody poeta Józef Czechowicz. Mało kto poza Lublinem czytał te wiersze. W dobie zastoju w czytelnictwie, niema czasu i pieniędzy na kupowanie wierszy i to w dodatku jakichś tam z Lublina. Warszawa jest święcie przekonana, że te „lubelskie" wiersze to jakaś grafomanja!

Tak nie jest. Jest inaczej. I jest bardzo dziwnie.

Grupa lubelskich poetów wyszła w świat z wyciśniętem piętnem wpływu polskiej lewicy poetyckiej. Poeta małego miasta potrafił tęsknić za przemianą i innością, w sztuczny i nieswój sposób, tylko przez fatalną szkołę twórczości, którą przyniosła ze sobą maniera „nowej sztuki".

Przyszedł więc okres paradoksu, kiedy lubelska grupa poetów nie myślała wcale po „lubelsku"; kiedy panem serca i fantazji stała się wizja wzięta z drugiej ręki. Wizja egzotyzmu współczesnego. Świat wielkiego miasta i maszyny.

Tęsknota za tem, czego się niema, pchnęła grupę lubelskich poetów na drogę taniego eksperymentu niezrozumialstwa. Spóźnione echa futuryzmu i wszelkich innych szkół i teoryjek rozwielmożniły się w „Reflektorze". Efekt był niespodziewany. Młodzi ludzie, rokujący najpiękniejsze nadzieje, znaleźli się nagle w arjergardzie polskiej produkcji poetyckiej, która przez Scyllę i Charybdę eksperymentów już przeszła.

Poeci lubelscy nie potrafili wytrzymać tempa. W tej próżni, która się utworzyła w ostatnich latach zastoju, oni mieszkańcy prowincji, widzowie najprostrzych i najpiękniejszych zdarzeń, nie potrafili znaleźć własnego sposobu wypowiedzenia siebie.

„Reflektor" przyniósł w zaraniu swego powstania „hasło" eklektyzmu. Przeprowadził swą kompilację rzeczy godnych widzenia dobrze, nie przerobił jednak swego sposobu patrzenia. Nie stał się eklektykiem stu metod obserwacji poetyckiej a został muzealnym kolekcjonerem poetycznych czynników i pięknych zdań.

„Paralele" Grędzińskiego, wiersze w których niewiadomo co bardziej podziwiać, czy ubóstwo wrażeń, czy niemoc wypowiedzenia, czy ekscentryczność układu; przyniosły smutne świadectwo grupie, której obowiązkiem przez 2 lata istnienia było zrobienie 2 kroków naprzód.

„Reflektor" nie stał się lubelską grupą poetycką bo chciał być koniecznie obywatelem światowe g iiny poetów. „Reflektor chciał czerpać z ogólnego skarbca, nie dając wzajem nic od siebie.

Lubelska grupa poetycka znajduje się w centrum pięknej połaci Rzplitej. „Reflektor" ma wszelkie dane by z lubelskiego wydobyć te poetyckie walory, jakie życie prowincji w sobie zawiera. Za przykładem wileńskich poetów, którzy dawno przezwyciężyli w sobie wpływ poetów wschodu i zachodu, a spróbowali sięgnąć do regjonalnego piękna Wilna i przeżyć wileńskich, muszą iść poeci lubelscy.

Wtedy może dopiero, z najdrobniejszych prób i poczynań, z piosenek żyjących najprostszą treścią życia serca i zjawisk, powstanie wielka pieśń polska, renesans polskiej poezji.

Adam Galis.

List otwarty do p. Brunona Winawera.

Lwów, grudzień.

W № 333 „Głosu Prawdy" zamieścił Pan dowcipny feljeton o mojej książce: „Z badań nad wyobraźnią artystyczną Stanisława Wyspiańskiego"

Ponieważ głośne Pańskie nazwisko mogłoby wielu ludzi w błąd wprowadzić, odpowiem krótko: Odmawiam Panu kompetencji do wydawania sądów o mojej pracy.

Tłumacz Platona, prof. Witwicki napisał raz trafnie: Można doskonale się pocić, a nie umieć zrobić analizy potu. A Matuszewski, dając stanowczą odprawę Weysenhoffowi jako rzekomemu pogromcy laurów Wyspiańskiego, rozgraniczył znakomicie i dobitnie uzdolnienie krytyczne od twórczego.

Można cudowną mówić polszczyzną, a nie orjentować się w prymitywnych prawach językowych. Można być znakomitym komedjopisarzem, a nie mieć zielonego pojęcia o wiedzy literackiej. Można być Brunonem Winawerem, a nie być Juljuszem Kleinerem. A drugi, który właśnie wydał moją książkę w „Badaniach literackich" jest dla mnie w tym względzie znacznie bardziej kompetentny niż pierwszy. Wystarcza mi to tem więcej, że sąd prof. Kleinera został poparty szeregiem ocen krytycznych ludzi, których nazwiska mówią same za siebie.

Odpowiam uczciwie, po męsku. Bez obelg. Bez soczystych wyzwisk feljetonowych. Inaczej nie umiem...

Dr. Henryk Balk.

„W puszczy"

Juljana Eismonda

(Opowieści o sercu zwierzęcem).

Z przedmową Józefa Weyssenhoffa. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Jest rzeczą charakterystyczną, że przy tak wielkiej tradycji łowieckiej w Polsce tak mało posiadamy literatury „zwierzęcej". Mickiewicz, Dygasiński, Weyssenhof — oto ważniejsze nazwiska. Naogół na całej linji artystycznego „przyrodoznawstwa" panuje antropomorfizm. Opisy przyrody, z nielicznemi wyjątkami, były transpozycją przeżyć i nastrojów autorskich. Świat roślinny i zwierzęcy, jako treść krajobrazu ojczystego, sprzężonego z systemem uczuć patrjotycznych — stał się, na równi z innemi, czynnikiem wielkiej rozlewni lirycznej.

Do rzadkości należy poezja życia czworonogiego, wydarta kniejom i subjektywizmowi. Dopiero teraz dziedzina ta zaczyna zdobywać sferę epiki i wyrąbywać swoje niepodległe granice.

Trudności były olbrzymie. Przedewszystkiem wspomniany już tradycyjny charakter emocjonalności przyrodniczej, a następnie sam trudny dostęp do duszy zwierzęcia. Rekonstrukcja beletrystyczna tej duszy wymaga specjalnej konstrukcji nastawienia psychicznego ze strony autora, a postawy tej z dnia na dzień przybrać nie można. Trzeba tajemnicę lasu do dna, że tak powiem, przeżyć w sobie, żeby w zewnętrznej obserwacji myśliwskiej sięgać do dna bytu zwierzęcego.

Ilościowo nikły — jakościowo doskonale się ten dział literacki rozwija. Weyssenhoff, Nałkowska, Eismond z głęboką wnikliwością inwentaryzują w naszem powieściopisarstwie duchowość wrogów i przyjaciół „ludności" leśnej człowieka.

Szczególnie rodzajowi temu poświęca się doskonały poeta Eismond. Jego opowiadania „W puszczy" są pięknym dokumentem scen i kulis życia zwierzęcego. Oko artysty psychologa na równi z celnością myśliwskiego strzału nieomylnie wymierzone jest w serce zwierzęcia. Łowcy chodzi o życie, literatowi o duszę.

Słusznie zaznacza w przedmowie Józef Weyssenhoff, że obrazy Eismonda pozbawione są łatwej metody uczłowieczania egzystencji zwierząt, że autor usiłuje wykryć prawdę tej egzystencji w jej surowych objektywnych konturach.

Należałoby tylko dodać, że do prawdy tej dochodzi Eismond poprzez instynktowny związek z przyrodą, której niszczące i dobroczynne prawa ogniskują się w akcji zwierzęcia. W strategji i mądrości rysiów i dzików wyczuwamy potencjalnie przyczajony rozum odwiecznych borów.

W opisie tych sensacyjnych anegdot Eismond nie ukrywa się ze wzruszeniami swemi. Występują one w bujnej kolorystyce tła i w charakterystyce przeżyć dramatycznych półdzikich i dzikich aktorów puszczy. *L. P.*

Głos Czytelnika! *)

W dyskusji, jaka wywiązała się na łamach Dodatku Literackiego „Głosu Prawdy" z powodu ogólnego upadku czytelnictwa, nie zabrał jeszcze głosu ten, który w materji tu nas obchodzącej odgrywa rolę najważniejszą — czytelnik, t. zn. nie „wybrańcy", nie z zawodu obowiązani do czytania, lecz szary ogół kupujących i wypożyczających książki, chacun à son goût, że tak powiem, „bezinteresownie".

Odrazu wyjdźmy z założenia: czytelnictwo upada, może nawet upadło. Czyżby to miało znaczyć to samo, co zanik zainteresowania literaturą?

Zanim się przeniesiemy się do „innego" świata", zawsze będziemy ze wzruszeniem szukać jego pyłków, dopatrywać się światełek, nadsłuchiwać szmerów, byleby pochodziły one z tego „innego", lepszego świata.

I tu stoimy nad Rodusem. Wszystko co było wyskarżone przez autorów, wydawców, księgarzy, krytyków, nauczycieli na temat kryzysu książki, są to raczej symptoma, a co najwyżej zjawiska współrzędnie występujące, towarzyszące zasadniczemu faktowi: braku interesującej literatury.

Więc nie upadek zainteresowania piśmiennictwem, lecz brak interesującej książki. Teraz łatwo już nam będzie dalsze wywody nawiązać doburzy, polemicznej z przed dobrego roku, spowodowanej o ile pamiętam, odkurzeniem z sakramentalnego pyłu bibljotecznego „Pana Tadeusza", tak zuchwale uskutecznionego przez J. N. Millera, autora „Zarazy w Grenadzie". Burzy, szalejącej wówczas na polu walki o nową kulturę polską.

***) Oddając do druku „Głos Czytelnika" pozwalamy sobie stwierdzić, iż nie godzimy się z poglądami, wyrażonem przez p. Stan. Brzozowskiego. Wedle naszego zdania, literatura polska nie zalega pola w odniesieniu do zagadnień współczesności. Książek „interesujących" jest dość, brak im tylko dostatecznego poparcia, tak ze strony niezmiernie przestarzałego aparatu wydawniczego naszych nakładców, jak też ze strony prasy i miarodajnych czynników rządowych i samorządowych. Nie możemy też zrozumieć dlaczego autor „Głosu Czytelnika" wymieniając czterech pisarzy pominął milczeniem Nałkowską, Choynowskiego, Goetla, Ostrowskiego, Dąbrowską, Wołoszynowskiego; z poetów Lechonia, Wierzyńskiego, Przybosia, Iwaszkiewicza—całe pokolenie prawdziwie nteresujących książek".**

Ciskano wówczas gromy w pojęcia, ideały, w siebie, a jeden z ostatnich wojowników mohikańskich w którymś z numerów Wiad. Liter. usiłował nawet zelektryzowaną atmosferę polemiczną rozbroić zakwestjanowaniem potrzeby (!) tej „nowej" kultury.

Wracając do ścisłego tematu, jako czytelnik, jeden z tych, którzy pragnęliby książki nie wypuszczać z ręki, a nie mają dość czasu na czytanie nudnych, lub zgoła złych, 95 groszy za sztukę, chcę również poskarżyć się z powodu literatury, ale właśnie na literaturę.

Literatura dawna jest nudna (patrz art. „A teraz Oni" w nr. 294 „Głosu Prawdy"), a nowa?... nie ujmuje współczesnej rzeczywistości.

I tak słusznie mówi autor wyżej cytowanego artykułu, nie dlatego, żeby się w czytelniku dzisiejszym stępiła wrażliwość na piękno, nudzą nas gargantuostwo „Pana Tadeusza", lub soldateska „Pana Wołodyjowskiego", lecz że na skutek odmiany warunków życia społecznych i etycznych, chcemy wejść w krąg nowych, najnowszych zainteresowań i problemów.

Nie chcemy wciąż oglądać swego życia (fałszowanego) na podwórku źle gospodarowanego folwarku szlacheckiego myśleć kategorjami geograficznie ograniczonemi, mamy dość magów i proroków, do djabła z ich prestydygitatorstwem.

Panowie autorzy! Na świecie już dawno szaleje burza, światy padają, światy nowe się rodzą. I u nas, i u nas też wykuwa się nowa rzeczywistość, nieszlachecka, polska lecz i europejska.

Przesuńcie oczy z tyłu wprzód. Nadstawcie uszu. Niech zabiją nam serca. My czytelnicy czekamy na was: Tuwimie, Słonimski, Strugu i Kadenie-Bandrowski.

Wtedy będziemy czytać, wtedy będzie dyskusja.

Stanisław Brzozowski—Wilno.

Jawność czy tajność?

W 52 im numerze Wiadomości Literackich za rok 1927 pomieszczono w skróceniu cały przebieg dyskusji o sprawie przyznania Nagrody Rzeczypospolitej za rok 1927 przez jury, złozone z pp. J. Dąbrowskiego, Wł. Zawistowskiego, P. Choynowskiego, W. Wroczyńskiego, K. Irzykowskiego i w. Rzymowskiego.

Trudno mi w tej sprawie zabierać głos, gdy właśnie moją twórczość przeciwstawiono podczas przewodu konkursowego twórczości laureata, oraz z powodu, iż upadłem przy głosowaniu, upadek zaś mój spowodowało votum separatum J. Dąbrowskiego.

Sądzę jednak, że trudność zabierania głosu z tej okazji jest tylko pozorna i wynikałaby raczej ze względów osobistych. W danym wypadku względy te nie istnieją. Żywię głęboką wdzięczność do J. Dąbrowskiego, iż uznał moją właśnie kandydaturę za godną energicznego poparcia, jestem dumny z tego, iż dyskutowano nad dziełem mojem w zestawieniu z dziełem L. Staffa, jestem szczęśliwy, iż wielki poeta polski L. Staff odznaczony został zaszczytną nagrodą Rzeczypospolitej.

Cała sprawa ma jednak inną jeszcze stronę i ona to właśnie dyktuje mi słowa niniejsze: Mam tu na uwadze moment w naszem życiu literackiem zupełnie nowy — moment jawności dyskusji, argumentów pro i contra, imiennego stawiania rzeczy łącznie aż do ogłoszenia drukiem całego przewodu.

Dzieje się to pierwszy raz w naszem życiu literackiem, że koledzy jawnie dyskutują o kolegach, że niejako w obliczu publiczności wymieniają swe zdania. Dzięki takiemu traktowaniu rzeczy, sąd nietylko zyskuje na powadze, lecz staje się swego rodzaju szkołą dla mas szerokich, szkołą prowadzenia dyskusji, określania kierunków i wartości literackich.

Z tego też względu sędziowie Nagrody Rzeczypospolitej dokonali w dziedzinie naszych stosunków koleżeńskich pięknego dzieła. Uzdrowili atmosferę panującą dotąd, wprowadzili jawność obrad i głosowania, obalili rozpowszechnioną dotychczas zasadę tajności, oraz pobieżnego dyskutowania kandydatur.

Dążyć należy obecnie, by zasada jawności zwyciężyła wszędzie przy tego rodzaju pracach a więc przy udzielaniu nagród miast (Warszawy, Łodzi, Poznania, Lwowa, Sosnowca) przy ewentualnych wyborach do Akademji itp. Jawność owa, to najlepsze chyba zpopularyzowanie spraw literatury w szerokich masach czytającego ogółu.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

ODPOWIEDZI GŁOSU LITERACKIEGO.

J. Friedem: Może wydrukujemy ową „armatę"? W każdym razie zechce Pan powołując się na tytuł wiersza nadesłać podpis (nazwisko, czy pseudonim) którym wiersz mamy sygnować. Pomysł fabryki-burżuja bardzo słaby, nie można tak stylizować, do żadnego obrazu, ani rytmu nie doprowadzi tego rodzaju praca.

L. Fr. Piękny pomysł, niewykonany jednak. Wygląda to trochę, jakby się Pan porwał z motyką na słońce. Tak, tak,—woda jest rzeczą niebezpieczną, trudną, niezmiernie chyba trudną?!

Bolesława Fel. Ależ to nie jest nowelka. Jest to raczej wypadek, opowiedziany nieskładnie, ze znacznym przerostem ekspresji a co gorzej, na poczekaniu tworzonej propagandy. Wielkie hasła, o ile przeprowadza się je drogą sztuki, wymagają tego samego przygotowania i staranności co wielkie prawdy w nauce. Nie wytrząsa się tego z rękawa!

Stalowy krzyk,—taniec na archipelagach i t. p. Wszystko to dawno już nadużyte, a zawsze nic nie znaczące, egzotyczne a pospolite. Radzimy zmienić manierę!

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „OSTOJA", Tamka 37 **Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem**